

# ROMAN STOPA (1895–1995)





yl długo. Jego pracowity żywot trwał prawie cały wiek. Urodzony u schyłku XIX w., zmarł z końcem w. XX. Do pełnego stulecia zabrakło mu niespełna cztery miesiące. Do ostatnich swych dni aktywny naukowo, pełen twórczej pasji, nie ustający w poszukiwaniach i badaniach związanych z budowanymi przez siebie teoriami, pozornie nie zdający sobie sprawy z upływu czasu. Ogromnie popularny i lubiany przez wielu, wzbudzający szacunek, podziw i ciepłe uczucia wśród ludzi, z którymi się zetknął w różnych okresach życia — także wśród młodzieży. Zwalczany niemiłosiernie przez innych, niejednokrotnie w bliskim otoczeniu i w tym samym czasie, kiedy odnosił niebagatelne sukcesy naukowe za granicą. Z jednej strony — skromny aż do przesady, łagodny, dobrotliwy, nieżyciowy i nieporadny, poprzestający na małym, konserwatywny niemal, w młodszych latach pomagający innym i niczego dla siebie nie pragnący. Z drugiej — otoczony zawsze nieprzeliczonymi stertami książek z bardzo różnych dziedzin, głównie z zakresu humanistyki, na które zapewne wydawał krocie; okazujący nadspodziewany upór i konsekwencję, kiedy przyszło mu zabierać głos w sprawach etyki, w obronie prawdy, a sprawność i wytrwałość w załatwianiu spraw związanych na przykład z wyjazdem na konferencję czy sympozjum naukowe do odległego kraju — i to w czasach, kiedy było to w Polsce niesłychanie utrudnione. Nie zwracając uwagi na swój podeszły wiek i fizyczne dolegliwości, z żelazną konsekwencją realizował plany i zazwyczaj stawiał na swoim, zaskakując za każdym razem na nowo całe otoczenie. Wszelkie starania i wysiłki profesora Stopy dotyczyły jednak zawsze nauki — i jej poświęcił życie.

Odznaczał się zmysłem bystrej obserwacji ludzi i życia, a także pogodą ducha i humorem. Można było odnieść wrażenie, że spogląda na świat przez pryzmat swoich oryginalnych poglądów na jego powstanie, początki, na współzależność zjawisk przyrody, ludzi, zwierząt. Zatem — człowiek renesansu, mistrz paradoksu? Niewątpliwie... Dzisiaj, z pewnej już perspektywy czasu widzę, że profesor Roman Stopa, którego drobną, pochyloną wiekiem sylwetkę tak często można było spotkać na ulicach Krakowa, pod niepozorną i prostoduszną postacią skrywał umysł i duszę głębokiego filozofa, kto wie, czy nie na miarę starożytnych greckich myślicieli. Umiał spojrzeć na siebie i na innych ludzi z dystansem i dobrotliwą pobłażliwością; błysk oczu zdradzał niejednokrotnie swoistą autoironię. Miał przy tym serce i duszę artysty: poza rozległymi zainteresowaniami naukowymi wypełniającymi mu większość czasu pasjonował się muzyką, szczególnie grą na skrzypcach. Próbował też sił w poezji. Zajmował się z pasją lingwistyką, był wybitnym fonetykiem, dociekał — poprzez żmudne badania naukowe — który kontynent był kolebką ludzkości, i tu skłaniał się zdecydowanie ku Afryce. Jedno zainteresowanie pociągało za sobą drugie, jedna dziedzina — inną, przy czym żadnej profesor nie zarzucał; raczej wzbogacała w jego badaniach poprzednią. Zналиśmy go wszyscy, jego uczniowie, studenci, później młodszy koledzy, głównie jako specjalistę z zakresu afrykanistyki szeroko pojętej, znawcę wielu języków. Wiedzieliśmy o jego zainteresowaniach etnograficznych, socjologicznych, a w nieco

późniejszym okresie — o wnikliwym i długotrwałym zajęciu się glottogonią. Pomimo jednak tego, że profesor często i chętnie dzielił się ze słuchaczami swoimi odkryciami naukowymi, mało kto wówczas ogarniał myślą całość jego koncepcji. Tak było i z tą ostatnio wymienioną dziedziną, której pozostał wierny do końca życia. Profesor Stopa badał bowiem zagadnienie powstania mowy ludzkiej nie tylko niesłychanie skrupulatnie, wytrwale i dokładnie, wykorzystując obfity arsenał swojej wiedzy, znajomość wielu języków, zarówno afrykańskich, klasycznych, takich jak łacina, greka, jak też zachodnioeuropejskich, ale także opracowywał je wielostronnie, w nowatorski, żeby nie powiedzieć — pionierski sposób. (Istotnie, za pioniera glottogonii, prekursora przynajmniej tego typu badań, uznała go nauka zachodnioeuropejska, także amerykańska.) Pamiętamy doskonale słynne „tabele profesora Stopy”, o których przepisanie nieraz prosił, zawierające niezliczone zestawienia fonemów porównywanych w różnych językach. Wielu z nas ma również w żywej pamięci skrzące zbieranie przez profesora, w celach porównawczych, poszczególnych wyrazów mowy dzieci (które ogromnie lubił), niektórych określeń ludowych i wreszcie — mowy szympanów, której poświęcił sporo uwagi i którą opisywał. Wszystko to, łącznie ze znajomością zagadnień muzykologicznych (opracowywał przecież także języki tonalne), Roman Stopa potraktował niejako globalnie, wyprowadzając wnioski dotyczące początków mowy ludzkiej.

W kontaktach osobistych, licznych rozmowach, dyskusjach prowadzonych często zarówno na tematy naukowe, jak też zwyczajne, codzienne, profesor Stopa był bezpośredni, pełen prostoty, niezwykle ujmujący, liczący się zawsze ze zdaniem rozmówcy, nie zapominający zapytać go o sprawy dla niego istotne czy o bliskie mu osoby. Paradoksalnie, taki sposób bycia niejednokrotnie wcale nie przysparzał mu zwolenników, gdyż nie celował w chłodnych, autorytatywnie rozstrzyganych sporach i utarczkach słownych, tak częstych wśród uczonych. Owszem, krewki z natury, a zarazem bardzo wrażliwy, raczej przerywał dyskusję; będąc zaś wytrawnym znawcą duszy ludzkiej, wnioski pozostawiał dla siebie... Nie zapominał jednak takich sytuacji i niejednokrotnie w prywatnych rozmowach mówił o nich z pewnym rozgoryczeniem. Zauważyłam przy tym, mając okazję przez wiele lat znajomości uczestniczyć w rozmaitych jego wystąpieniach, że nigdy nie czuł się dotknięty, nie odbierał negatywnie rozbawienia audytorium, kiedy prezentował — w jedynie sobie właściwy, profesjonalny sposób — hotentocko-buszmeńską mowę, z zastosowaniem mlasków. Nie zrażał się tym, że niektórzy słuchacze, o czym dobrze wiedział, przybyli głównie ze względu na te mlaski; zdawał sobie sprawę, że z czasem zainteresują się czymś więcej. Bawił się dobrze, wraz z całą salą — i wówczas widziało się, że jest człowiekiem gołębiego serca. Działalnością popularyzatorską zajmował się chętnie, z całą skromnością. Jego prelekcje ściągały tłumy; wiele osób początkowo było zafascynowanych jedynie możliwością usłyszenia fachowo przedstawionych, nikomu na ogół nie znanych afrykańskich języków. Z czasem jednak wciągała ich rozległa i wielostronna wiedza i nowatorskie teorie prelegenta. Głosił je niestrudzenie, przez

całe dziesiątki lat, nie zrażając się nigdy trudami pionierskiej pracy; i to niezależnie od tego, czy się ktoś z nim zgadzał, czy nie.

A dzisiaj jego punkt widzenia, jego poglądy naukowe zyskują coraz większy poklask i aprobatę, zarówno w Europie Zachodniej, jak i w Stanach Zjednoczonych.

Profesor Roman Stopa był uczonym, u którego łatwo było dostrzec wiele cech zazwyczaj temu mianu przypisywanych. Przy świetnej pamięci, pracowitości, wytrwałości odznaczał się w dużym stopniu uporem (czyli — silnym charakterem) i typowo profesorskim roztargnieniem. Był pełnym uroku dystryktem. Krążyły anegdota o tym, jak przedstawiciele licznej rodziny profesora Stopy biedzili się co miesiąc, aby odnaleźć wśród niezliczonych książek, broszur, notatek — zagubiony ważny dokument, kwit czy banknot. Najczęściej profesor, z braku czegoś innego pod ręką, zakładał nim czytany aktualnie fragment jakiegoś elaboratu. Sam kiedyś zalił mi się pół żartem, pół serio, mówiąc, jak to rodzina, pragnąc mu sprawić niespodziankę, wymalowała mieszkanie w czasie, kiedy przebywał na urlopie. Książki zostały posortowane i równo ułożone. Rzadko kiedy widziałam pogodnego zwykle profesora tak zgnębionego... Ja zaś wiedziałam dobrze, jak bezbłędnie profesor Stopa umiał zawsze odnaleźć poszukiwaną przez siebie książkę w pozornym bałaganie.

Jeżeli mowa o anegdotach, to warto wspomnieć o sławetnym, zdrowym i higienicznym trybie życia profesora Stopy (który intensywnie propagował), o stosowanej diecie, zwalczaniu picia alkoholu i palenia tytoniu, ćwiczeniach gimnastycznych i hydroterapii uprawianej prawie do końca życia. Otóż wiadomo było, że studenci zapraszani czasem do domu profesora, np. na konsultację, która zwykle zamieniała się w długotrwały wykład monograficzny, nie mogli wyjść bez skonsurowania surówki z marchwi, jabłek lub czegoś podobnego, niezależnie od tego, czy to lubili, czy nie. Śmiała się często młodzież z takich „dziwactw” profesora, z zachęcania do spożywania w dużych ilościach czosnku, cebuli. Nie były to czasy, kiedy mówiło się, jak dzisiaj, o zdrowej żywności, o ochronie środowiska itp. Sądząc, że ówcześni goście profesora Stopy zmienili zdanie, zwłaszcza gdy wzięli pod uwagę swoisty fenomen, jakim niewątpliwie jest fakt, że chorowity, mający kłopoty z woj-skim ze względu na słabe zdrowie chłopak, w późniejszym życiu nie rozpieszczany i nie oszczędzany, jak większość Polaków jego epoki — dożył w dobrej kondycji fizycznej blisko stu lat.

Czy profesor Stopa był dyktantem? To retoryczne, niewątpliwie prowokacyjne pytanie postawiłam sobie samej po raz pierwszy właśnie teraz; nigdy nie przyszłoby mi ono do głowy, jak też z pewnością większości osób dobrze znających profesora. Czy jednak ktoś z dawnych przeciwników jego śmiałych teorii, widząc ogromny warsztat naukowy profesora i szeroki wachlarz jego zainteresowań, dziedzin, które opanował i w których się wypowiadał, nie próbował w tę stronę skierować swych zarzutów? Otóż przeczy temu uznanie jakim cieszył się profesor Stopa za granicą przez wiele lat, sukcesy odnoszone na zjazdach, sympozjach, konferencjach naukowych, w których uczestniczył niemal do końca życia, fachowa korespondencja, a wreszcie — ogromna liczba publikacji, natychmiast zwykle rozchwytywanych. Szczególnie te osta-

nie cieszyły się poczytnością, zwłaszcza gdy kontakt bezpośredni i ustna wymiana myśli od dłuższego czasu utrudniona była przez niedomogę słuchu profesora.

Jakimi dziedzinami wiedzy, nauki, sztuki głównie się zajmował? Było ich wiele; niektóre z nich przez długie lata były przedmiotem jego profesjonalnych zajęć czy wykładów monograficznych, inne posłużyły mu do wzbogacenia i rozwinięcia prowadzonych badań. Profesor Roman Stopa był w pierwszym rzędzie lingwistą, przedstawicielem licznych działów afrykanistyki, glottogonii, językoznawstwa porównawczego afrykańskiego, również — etnografii, etnologii, muzykologii ludów Afryki, antropologii, paleoantropologii, orientalistyki, geografii, kultury, zwłaszcza narodów afrykańskich. Jako ceniony współpracownik uniwersytetów krajowych i zagranicznych był na tyle znany, że zaproszono go, aby został założycielem i honorowym prezesem Language Origins Society (LOS). Pierwszy zjazd tego towarzystwa miał miejsce w Polsce z końcem sierpnia 1985 r. — dla uczczenia 90. urodzin profesora — jak postanowili założyciele LOS i uczestnicy konferencji. Kolejne spotkania odbywały się co roku lub co dwa lata — każde w innym kraju. Profesor brał w nich udział, pomimo pogarszającego się stanu zdrowia. To pierwsze spotkanie o mały włos nie zostało pozbawione głównego bohatera — jubilata, a zarazem honorowego prezesa, który, dowiedziawszy się prawie w ostatniej chwili, że uroczystość ma się odbyć na jego cześć — przyjechał z odległej miejscowości wypoczynkowej. Wzruszony — pędził, jak zwykle, i niemal w biegu wskakiwał do okazyjnej ciężarówki; kiedy dotarła na miejsce, już w Krakowie — zeskoczył z platformy jak młodzieniec, jednak potknął się o jakiś kamień i bardzo poważnie złamał nogę w biodrze. Przewieziony natychmiast do szpitala, został poddany skomplikowanej operacji. Właśnie zaczęli naphywać zaproszeni goście, prawie z całego świata. Zmartwieni i zaskoczeni sytuacją, zastanawiali się już, czy nie przeprowadzić sesji naukowej zgodnie z planem (wszystko było przygotowane), a później udać się do szpitala z kwiatami. Tymczasem profesor „nie próżnował”; interesowały go przede wszystkim właśnie naukowe dyskusje. Zwracał się więc wielokrotnie do lekarzy, do władz szpitalnych, o zezwolenie na kilkudniowy „urlop”. Prosił mnie nawet o pośredniczenie. Ordynator jednak nie wyrażał zgody; operacja była zbyt świeża, a ponadto problemem było przetransportowanie profesora na teren obrad. Profesor Stopa miał to do siebie, że nigdy łatwo nie zrażał się trudnościami. Zaprosił ordynatora na rozmowę, zainteresował go problematyką zjazdu, wręczył pisemne zaproszenie — i dopiął swego: nie tylko otrzymał pozwolenie na opuszczenie szpitala, ale wypożyczono mu wózek inwalidzki, przydzielono pielęgniarkę i — w towarzystwie ordynatora — jubilat pojawił się na sympozjum, witany owacyjnie. Taki właśnie był profesor Roman Stopa. Dla ścisłości trzeba dodać, że późniejsza rekonwalescencja przebiegła szybko i sprawnie, w dużej mierze dzięki wytrwałości pacjenta i prowadzonym przez niego, także na własną rękę, zabiegom rehabilitacyjnym. Wkrótce nikt nie pamiętał o tym wypadku.

Profesor Roman Stopa był gorącym patriotą. Nigdy się z tym nie afiszował; przy jego skromności i całkowitym braku wszelkiej pozy może nawet byłby zdzi-

wiony takim określeniem jego osoby. A jednak był nim naprawdę. Świadczy o tym nie tylko umiłowanie stron rodzinnych, wrażliwość na piękno przyrody, polskiej (choć nie tylko) flory i fauny. Urodzony 8 sierpnia 1895 r. w Woli Batorskiej, w pobliżu znanej z urody Puszczy Niepołomickiej, niedaleko prastarego, pełnego wspaniałych zabytków i bogatego swymi dziejami Krakowa, miał wiele okazji, aby poznać i pokochać także szerzej pojętą „małą ojczyznę”. Niejednokrotnie o tym mówił, jak też o serdecznej atmosferze panującej w domu rodzinnym, głębokiej religijności stamtąd wyniesionej, o ulubionych zwierzętach. Sądzę jednak, że znacznie bardziej wyrazisty dowód patriotyzmu dał w czasach ciężkiej próby dla narodu polskiego, jaką była II wojna światowa. Jej wybuch zastał profesora w Belgii; brał tam udział w lingwistycznym kongresie, który odbywał się w Brukseli. Natychmiast przedostał się — okrężnymi drogami — do kraju, gdzie narażając się wielokrotnie na aresztowanie, obóz koncentracyjny, a nawet utratę życia, wziął aktywny udział w zorganizowanym w okupowanej Polsce tajnym nauczaniu. Sam utrzymywał się wówczas z doraźnych prac zarobkowych. Najwidoczniej nie obawiał się trudów życia lub raczej umiał im sprostać w razie konieczności, gdyż miał już za sobą niecodzienną, jak na „mola książkowego” o słabym zdrowiu, praktykę: zatrudnienie w kopalni soli w Wieliczce, umożliwiające mu (ze względu na niełatwą sytuację materialną) studiowanie filologii klasycznej na Uniwersytecie Jagiellońskim w latach 1915–1919. Zajmował się także udzielaniem korepetycji — i z tego doświadczenia korzystał m.in. również w długim, pięcioletnim okresie okupacyjnej nocy. Wystarczy zapoznać się z wypowiedziami byłych uczniów profesora z czasów tajnego nauczania, nadesłanymi z okazji jego 90. urodzin, tj. w sierpniu 1985 r., aby dowiedzieć się, z jaką wyjątkową serdecznością, przypominającą wielu wojennym sierotom dom rodzinny, z jaką miłością Ojczyzny prowadził — niezwykle profesjonalnie — lekcje łaciny czy angielskiego, pozostawiając niezapomniane wrażenia.

Nakreślenie pełnego wizerunku bohatera niniejszego wspomnienia okazało się zadaniem wcale niełatwym. Był postacią wielowymiarową, barwną i malowniczą, kimś prostodusznym, afirmującym świat, ludzi, przyrodę, pełnym życzliwości dla nich; z drugiej jednak strony — w swych badaniach naukowych był niesłuchanie konsekwentny, krytyczny, często nieustępliwy. Mówiąc nieco pompastycznie, był tytanem pracy: całe lata spędził przy biurku, prowadząc żmudne badania. Przyjaźnił się z wieloma sławnymi uczonymi; niektórych poznał osobiście, uczestnicząc w sympozjach, konferencjach międzynarodowych, innych znał z ich dzieł traktujących o zagadnieniach, które i jego interesowały. Prowadził z nimi obfitą korespondencję. Myślę, że tę kwestię, a także obraz naukowego warsztatu pracy profesora Stopy trochę przybliży obszerny cytat z artykułu pt. *Prof. dr Roman Stopa (w 75-lecie urodzin)*:

Po uzyskaniu absolutorium pracuje od 1920 do 1939 r. w szkolnictwie średnim. Bliższe zainteresowania językoznawstwem skłaniają Go do podjęcia w tym czasie samodzielnych studiów w tej dziedzinie, uwieńczonych w 1927 r. uzyskaniem doktoratu z językoznawstwa indoeuropejskiego. Badania naukowe w zakresie fonetyki ogólnej wprowadzają Romana Stopę w skomplikowaną

problematykę afrykańskiej fonologii, zbliżają Go do afrykanistyki, której w końcu pozostał wierny do dnia dzisiejszego. Szczególnie zainteresowanie językami buszmeńsko-hotentockimi i intensywnie ich badanie prowadzi do opublikowania w 1935 r. przez PAU rozprawy *Die Schmalze, ihre Natur, Entwicklung und Ursprung*, pierwszej napisanej przez Polaka pracy językoznawczej w dziedzinie afrykanistyki. Wydanie tej rozprawy poprzedziły osobiste kontakty naukowe z wybitnym uczonym hamburskim, prof. C. Meinhofem, zaś jej efektem stała się możliwość przeprowadzenia badań już na terenie samej Afryki w Namibii i Kalahari, dzięki stypendium Funduszu Kultury Narodowej przyznanego na wniosek prof. Rozwadowskiego. Pobyt w Afryce południowo-zachodniej wykorzystał uczony do zbierania materiału językowego i etnograficznego, do studiów na uniwersytetach w Johannesburgu i Kapsztadzie. Po powrocie do kraju (1936) uczony wydaje tom tekstów hotentockich, publikuje wyniki badań nad kulturą Buszmenów, próbuje ocenić całościowo strukturę języków afrykańskich.

W 1936 r. Roman Stopa habilituje się na Uniwersytecie Lwowskim, przy czym jednym z egzaminatorów był prof. D. Westermann, drugi obok C. Meinhofa wybitny afrykanista tego okresu. Przez następne lata Roman Stopa intensywnie studiując językoznawstwo ogólne, fonetykę i afrykanistykę w Berlinie, Londynie, Lejdzie i Paryżu, korzystając z doraźnych urlopów udzielanych Mu przez władze szkolne, bierze czynny udział w Kongresie Fonetycznym w Gandawie i Kongresie Lingwistów w Brukseli. Wyrażona w pracy *Die Schmalze...* hipoteza o rozwinięciu się mlasków w dźwięki wydechowe (tak istotna dla późniejszej teorii Romana Stopy o wspólnocie genetycznej języków afrykańskich), stanowiąca zarazem zaprzeczenie teorii Trombettiego, jakoby mlaski powstały z dźwięków wydechowych, zwróciła uwagę lingwistów światowej sławy na polskiego uczonego. „Twierdzi on — pisze Jacques Van Ginneken — że mlaski stanowią protospółgłoski całej ludzkości i że dzisiejsze eksplozywne, afrykaty i frykatywny z nich się wywodzą. Zgadzam się z nim całkowicie i pragnę dziś spełnić dane kiedyś przyrzeczenie, uzupełniające materiał dowodowy Stopy szczegółami z obszaru fonetyki kaukaskiej”<sup>1</sup>.

I dalszy fragment wspomnianego artykułu, napisanego z okazji 75-lecia urodzin profesora:

Natychmiast po wyzwoleniu rozpoczyna wykłady na Uniwersytecie Jagiellońskim w dziedzinie afrykanistyki, fonetyki ogólnej i angielskiej, muzykologii porównawczej ludów Afryki, a później prowadzi już regularne nauczanie języków afrykańskich — suahili, hausa, ewe, buszmeńskich — w Seminarium Filologii Orientalnej. Badania naukowe mają odąd objąć kilka dziedzin: etnografię i etnologię Afryki, fonetykę ogólną, glotologię i komparatystykę językoznawczą oraz języki afrykańskie.

W zakresie etnografii i etnologii Roman Stopa publikuje przede wszystkim prace dotyczące tzw. „Restvölker” — Buszmenów i Hotentotów. Książki takie, jak *Archajizm kultury buszmeńskiej*, *Hotentoci* czy *Mali ludzie w pustyni i puszczy*, są wyrazem głębokiego humanizmu autora, wzywają do ratowania wymierających kultur, zepchniętych przez kolonialistów na pustynne, martwe obszary Kalahari. Inne publikacje służą analizie folkloru afrykańskiego, obyczajowości, sięgają do pradziejów tego kontynentu; pracę przekładową, ograniczoną dotąd do obszarów literatury buszmeńsko-hotentockiej, poszerza o dalsze języki — suahili, ewe, hausa<sup>2</sup>.

A co mówił nam sam profesor Stopa o swoich badaniach naukowych, o ich rozwoju i poszczególnych fazach? Jesteśmy w tej szczęśliwej sytuacji, że możemy czerpać „pełnymi garściami” z jego bogatych wspomnień, o których wydanie drukiem zabiegał całymi latami, a opracował i uzupełniał — przy pomocy przyjaciół —

<sup>1</sup> R. Ohly, *Prof. Dr Roman Stopa (w 75-lecie urodzin)*, „Przegląd Orientalistyczny” 1970, nr 3 (75), s. 239.

<sup>2</sup> Ibidem, s. 240. W obydwu cytatach zachowałam oryginalne brzmienie tekstu, bez aktualizowania go.

niemal do ostatnich chwil życia<sup>3</sup>. Stanowią kopalnię wiadomości, moim zaś zamierzeniem nie było tu opracowanie wyczerpującej biografii profesora. Znając go jednak przez wiele lat, zdawałam sobie po części sprawę z tego, czym żył i co było dla niego najważniejsze. Otóż w 1950 r. na posiedzeniu PAU profesor Stopa postawił „rewolucyjne” wówczas pytanie: „Czy wolno zestawiać języki mlaskowe z bezmlaskowymi?”<sup>4</sup>

Dorywcześnie takiego pytania w ogóle nie zadawano. Pozytywna zaś odpowiedź na nie, do której prof. R. Stopa doszedł po żmudnych badaniach, pozwoliła mu przeprowadzić nowe ujęcie klasyfikacji języków Afryki. Oddajmy głos profesorowi:

Wprzód jednak podam pewne uwagi dotyczące wymowy mlasków. To, co my zwykle w mowie potocznej określamy jako mlaskanie lub mlaski, to nie są mlaski takie, jakie stosują Buszmeni. Nasze mlaski są w ich pojęciu i w pojmowaniu fonetycznym niepełne lub niezupełne. Brak im mianowicie elementu tylnego w postaci jakiegś spółgłoski gardłowej lub nosowej. Mówiąc tedy ściśle, a więc naukowo lub fonetycznie, mlaskiem względnie blokiem mlaskowym będzie dopiero synteza, złożenie lub układ dwu elementów spółgłoskowych: przedniego, który jest właśnie owym mlaśnięciem języka, i tylnego, który jest spółgłoską gardłową, a więc np. wydechową *k, g, ŋ, h* lub wyrzutową *kx...*<sup>5</sup>

W innej swej pracy Roman Stopa objaśnia czytelnikowi:

Grupa hotentocko-buszmeńska wykazuje pewne pokrewieństwo typu językowego (prawdopodobnie również pokrewieństwo w sensie genealogicznym) z grupą sudańską, zwłaszcza z jej zachodnim odłamek. Zasadnicze cechy grupy hotentocko-buszmeńskiej są następujące: mlaski, ton semantyczny, monosylabizm, analityczna budowa zdania; rolę fleksji odgrywa szyk wyrazów i ich kombinacje<sup>6</sup>.

Przytaczam fragmenty prac profesora także po to, aby pokazać próbki jego stylu. Dalej pisze:

Mlaski — są to dźwięki o charakterze spółgłoskowym, o tyle jednak odmienne od naszych spółgłosek, że ich artykulacja jest niezależna od oddechu, a zatem i od fonacji (głosu), natomiast wytwarzane są ruchem ssącym warg czy języka (zasadniczo pojawiają się one w nagłosie), np. mlask wargowy, wargowo-zębowy, wsteczny, zębowy, lateralny, czyli boczny, alveolarny, czyli dziąsłowy, cerebralny<sup>7</sup>.

Nie podaję bardzo szczegółowych, specjalistycznych przykładów.

Przyjrzyjmy się stylowi pisarskiemu profesora Stopy — tam, gdzie charakteryzuje On ludzi mówiących językami, którymi się zajmował, czy to jednostkami, czy całymi plemionami, narodami zamieszkującymi Czarną Afrykę. Autor zamienia się wówczas w lirycznego poetę piszącego prozą... Sądzę, że jest to szczególnie cenne dlatego, że szczere. Pamiętam, jak profesor opowiadał o swych czarnoskórych przyjaciółach, jak ciepło wspominał ich prostolinijność, serdeczność, mądrość ży-

<sup>3</sup> R. Stopa, *Spod chłopskiej strzechy na katedrę Uniwersytetu. Kartki z życia człowieka opętanego muzyką, poezją, wsią i Buszmenami*, wyd. 2. poszerzone, Kraków 1995.

<sup>4</sup> R. Stopa, *Czy wolno zestawiać języki mlaskowe z bezmlaskowymi?*, „Sprawozdania PAU” 51, 1950, s. 265–268.

<sup>5</sup> R. Stopa, *Spod chłopskiej strzechy...*, op. cit., s. 134.

<sup>6</sup> R. Stopa, *Hotentoci*, Kraków 1949, s. 20.

<sup>7</sup> Ibidem, s. 20–22.



ciową. W czasie swego pobytu w Afryce profesor zbierał materiały językowe, obserwował zwyczaje, zapisywał opowiadania ludowe, baśnie. Spotykał się z dużą życzliwością, zrozumieniem. Nie bez powodu przylgnęło do niego miano „biały Hotentot”, a w Afryce wspominają go do dzisiaj. Kontakty z tubylcami nawiązywał m.in. korzystając z pomocy misjonarzy, o czym pisał w swych wspomnieniach. Wiele tych znajomości zamieniało się w przyjaźń i przetrwało długo po powrocie do Polski. Po wojnie niejednokrotnie kształcił młodych kandydatów na misjonarzy w językach krajów, do których się udawali. Później następowała często wymiana korespondencji, a z ośrodków misyjnych nadchodziły cenne dla lingwisty materiały językowe, o które w Polsce w tych czasach było niesłychanie trudno. Profesor Stopa udostępniał je z kolei nam, swoim słuchaczom.

Zanim przytoczę fragment charakterystyki ludów afrykańskich autorstwa profesora Stopy, chciałabym przedstawić jedną z pełnych uroku bajek hotentockich w jego tłumaczeniu, zawierającą — kto wie — może prawdziwe treści... Oto ona:

O kurce i igle

Jednego dnia — tak się to niby opowiada — kura, jak zwykle, szła suknie. Wtedy przyszedł tam kurczęta z innego podwórza i, jak to jest ich zwyczajem, bawiły się, a potem zaczęły się bić. Wtedy matka rzuciła wszystko, i suknie, i igłę, i pobiegła ku dzieciom, i przyszła tam, aby (walczących) rozdzielić. I stamtąd ona z powrotem przyszła, a tu, patrz, igły nigdzie nie ma. Te igły szukają kury do dzisiejszego dnia<sup>8</sup>.

Profesor, opisując życie stepowe w Afryce południowo-zachodniej z czasów jego tam bytności przed II wojną światową, mówi o wielkim zamilowaniu Hotentotów do śpiewu i tańca:

Lud taki musi śpiewać, choć — może nieświadomie — spogląda w przepaść, przed nim rozwartą, w zagładę rodzimej formy życia, rodzimej kultury. Wynika to bowiem z jego wewnętrznego, instynktownego niemal pędu, aby choć na chwilę oddalić się od świata zewnętrznego z całą tegoż surowością i okrucieństwem, od niepowodzeń i borykań się z rzeczywistym światem przyrody, a przenieść się w świat inny, fantastyczny, piękniejszy zapewne i szczęśliwszy od rzeczywistego<sup>9</sup>.

I dalej:

Więc przede wszystkim te bezkresne przestrzenie stepu, dające mocne, a tak drogie człowiekowi poczucie swobody; noc w zaroślach na stepie, już to rozśpiewane głosami wszelakiej żywności wśród drzew i krzewów, bujnie porastających łożyska rzek, w których niekiedy i lata całe ani kropla wody nie płynie, to znów noc milcząca, cicha, przerywana jedynie wyciem szakali wśród stepu. Takie przeżycia żłobią w duszy ludzkiej wrażenia niezwykle głębokie, niezapomniane... Na tle tej przyrody człowiek w zgodnej, cichej z nią zmwie, niejako w przymierzu, człowiek pierwotny o psychice dziecka, o rękach delikatnych, nie umiejących pracować, o gołeniach smukłych jak u antylopy, dawniej wolny, śmiały łowca, dziś lękliwy, przez wszystkich ścigany, przez wszystkich zarówno czarnych jak białych nienawidzony parias, niby małpolud czy wychudła zjawa śmierci na stepie — to Buszmen pozbawiony obecnie dziczyny...<sup>10</sup>

<sup>8</sup> Ibidem, s. 49.

<sup>9</sup> Ibidem, s. 52.

<sup>10</sup> Ibidem, s. 54.

I w innym miejscu:

Tak się to tam tedy w ową noc księżycową tańcem zwierząt i ludzi step rozróżni, rozedrga, rozludni... zda się, że to ziemia roztańczyła się cała, w magiczne dostawszy się pęta, w magiczne uroki księżyca i misteria jakoweś wiecznego odradzania się żywizny w tańcu owym odprawia...<sup>11</sup>

Cóż można powiedzieć na zakończenie? Chyba tylko jedno: profesor Stopa żył za krótko... Gdyby zaś wielki nasz pisarz Bolesław Prus dożył naszych czasów, zapewne „ostatnim romantykiem” uczyniłby nie Ignacego Rzeckiego z *Lalki*, lecz właśnie Romana Stopę... I przy nim pojawiłaby się sentencja: „Non omnis moriar”...

Zmarł w Wielką Sobotę 15 kwietnia 1995 r. w Krakowie. Za cztery miesiące świętowałby stulecie swoich urodzin...

*Alicja Malecka*

---

<sup>11</sup> Ibidem, s. 72.